Warszawa, dnia Lutego 1862 r. № 5. 20 Stycznia.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3), *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *pół ocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

ZARYSY PRZESZŁOŚCI NASZEJ.

BAŁWOCHWALSTWO U SŁOWIAN.

3.

Uczeni nasi badacze starożytności słowiańskich jednozgodnie przyznają, że wyobrażenia o najwyższéj Istocie u pogańskich Słowian były jednakowe, z tą tylko różnicą, że gdy Słowianie zakarpaccy wierzyli w jedną Istność, sprawcę wszech rzeczy, kierującą światem przez mniejszego rzędu podwładne sobie bóstwa; Słowianie nadelbiańscy mieli to przekonanie, że jeden Bóg najwyższy niebieskiemi będąc zajęty sprawami, rządzi światem całym przez mniejszych ze krwi jego stworzonych bogów, tym szlachetniejszych, im który z nich zostaje bliżéj owego jedynego Boga. Żeby jednak te podrzędne bogi miały w pojęciu ludu stać na wysokości Boga, na to nie ma dowodu choćby najmniejszego, i skutkiem takiego to pojmowania ich natury, podanie ani na piśmie, ani w pamięci ludzkiéj nie przyniosło nam wiadomości o bóżnicy dla którego z tych bogów gdzie w jakiéj okolicy wystawionéj. Są to więc właściwie bożyszcza, duchy, demony i nymfy, a szereg ich prawie nieobliczony.

I tak, *Pohoda* i *Nehoda,* czyli niepogoda, były tylko duchem albo symbolem ogólnych zmian powietrza. *Wietrznica,* u Rusi *Witernica,* Wichura podobnież, i ta albo się w gniewie miota i wywraca, albo łagodnie igra i pieszczotliwie porusza. *Pochwist, Pogwizg* był symbolem wiatru i zwano go inaczéj *Świst Poświst, Lel Polel,* u Czechów *Poleb,* ulewę i deszcz przedstawiał.

Zywie czyli *Zywot,* zdaje się, że jako żywioł życia mógł miéć większe znaczenie, ale o czci jaką mu oddawano, badacze nasi nie mogli się jeszcze nigdzie doczytać. Wiadomo tylko, że Czesi gardzili nim i nie chcieli go pomieścić w rzędzie swoich bożyszcz. Za to wspólnie z Lechitami oddawali cześć *Marzanie* czyli śmierci, nucąc przy pogrzebach stosowne pieśni. Na początku wiosny, bałwana *Marzany,* jako symbol ukończonego roku, topiono uroczyście, co przeszedłszy w niektórych miejscowościach aż do naszych czasów, zrobiono z tego zabawkę i topią bałwana mającego przedstawiać zapusty w pierwszy dzień wielkiego postu. Pokrewnemi *Marzany* były nocne *zmory,* duszące

nocami *mory*, roznoszący śmierć *mór*, *momorki* i t. p. Duszenie *zmory* jeszcze się i dziś pomiędzy ludem utrzymuje, szczególniéj po libacjach kieliszkowych, a *mór* albo *zarazę* wyobrażają sobie na Litwie w postaci dziewicy w bieli przechadzającéj się po polach.

Między owemi duchami, powiada Lelewel, szkódnic bezwątpienia było więcéj niż szkódników, bo trzeba wiedzieć, że duchy te, jak ludzie, byli płci męzkiéj lub żeńskiéj. I tak, *psota*, *przechera*, *przekora*, zawsze wyrządzały złości i ludziom stawały nieraz kością w gardle; *błędnica* znów wyprowadzała na bezdroża i różne topiele, a wtenczas dopiero *wertepnik* ścigał zbłąkanych, wyprawiał z niemi różne szprynce i psoty, a nawet i kark łamał. Psotnice te zbierały się na górze Silensów pod miastem Niemcza, wyprawiając tam zapewne różne harce, uczty i biesiady, jak czarownice z czasów chrześcijańskich na Łyséj Górze, na którą po dzisiejszy jeszcze dzień mają się zjeżdżać na miotłach, ożogach i łopatach.

Kupała i obchód *Kupaliny*, prawdziwie trudno, powiada Lelewel, wytłómaczyć, jakiego miał boga na oku. Z początkiem lata, 24 Czerwca, rozpalano ognie, skakano przez nie, wyciągając z tego wesołe wróżby. Kupałą był i ogień, i uroczystość, i skaczący. Ponieważ słońce w dniu tym bywa nad horyzontem najwyżéj wzniesione, czyby więc z tego nie należało sądzić, że zwyczaj ten był obchodzony na cześć bożyszcza światła, albo ciepła słonecznego, które w tym czasie tak ważny pełni obowiązek w dojrzewającém zbożu i owocach ziemi? Obrzęd ten dziś jeszcze pod nazwą *sobótki* lub wianków święto-jańskich przechował się, i wróżba w nim główną treść stanowi.

Wodzie również poświęcano pewne uroczystości, i w Październiku obchodzono tak zwane *topiołki*, na cześć utopionych. W tym więc celu, mając przekonanie, że duchy utopionych przemieszkiwały w przestrzeniach wodnych, dziewczęta w dniu oznaczonym skakały w wodę i pluskając się w niéj wywoływały *Pluskonów* i *Topielców*. Jeżeli zaś która z nich zagubiła i serce i myśli w spojrzeniu jakiego młodziana, a miłości téj nie pochwalano, wtenczas uroczyście odprawiano tak zwane *myniny*, to jest w jéj obecności czarną jałowicę wprowadzano w bieżącą wodę i obmywano. Zwyczaj ten zabobonny dziś zaginął zupełnie, ale jałowica w swatach, małżeństwach u włościan naszych, jeszcze teraz pod przenośnią dzieweczkę oznacza.

Ziewonja czyli *Ziewiena*, albo *Dziewanna*, miała byc boginią siewu, i bałwanka jéj niewiasty i dziewice uwieńczywszy, obnosiły wyśpiewując zapewne różne pieśni. *Zezilja* czy *Zizilja*, była wyrazem żałości, żalu, smętności.

Szereg podobnych bóstw, duchów, dusz, z dzisiejszego języka ludu, powiada Lelewel, nie trudno rozciągnąć, ale wielobóstwo z tego trudno wymyśléć. Dziewanna i Marzana, choć pierwsza była niby boginią siewu, a druga śmierci, jednak znanych roślin pod tém nazwiskiem nie uważano za boginie, jak rzeki Boh, Bug, Bożek nie są bogami. Kukułka, zwana *zuzulą*, *ziziliją*, nie była ubóstwianą, a jednak była symbolem żalu, smutku, i mówiono: płacze jak kukułka. Lud patrząc na świat stworzony, działające w nim siły, ruch, zdarzenia, przymioty przeistaczał w duchy i uosabiał je w różne postacie, podobnie jak to się jeszcze dziś dzieje, i kto chciał to wierzył, bawił się tém lub wyśmiewał, bo tak przesądnych jak z pojęciami naprzód wysuniętemi nigdy między ludźmi nie brakuje. Bóstwa więc wszystkie, o jakich wiadomości doszły aż do naszych czasów, i obrzędy przy nich dokonywane, należy uważać jako czynności niosące igraszkę, zabawę lub pociechę, zmieniające się podług upodobania w każdéj miejscowości. Główna zaś uroczystość i cześć Boga jedynego była powszechną, imię jego było zawsze w ustach Słowianina, kierowało jego myślą i uczuciem, ale do przysiąg nie służyło, bo przysięganie uważano za wykroczenie przeciw Bogu.

W pojęciu więc religijném, lud nasz obecnie żyjący podobno niewiele się oddalił od swych przodków przedchrześcijańskich, czcił Boga, stroił bałwany, dopełniał zabobonne obrzędy, wierzył w gusła, zupełnie jak to dziś ma miejsce. A czy imię Boga włościanin nasz nie ma wiecznie w ustach? Wszystko u niego najprzód jest Boskie, a potém jego: z Bożéj to opatrzności ma zdrowie, życie, urodzaj w polu; Boża wola rządzi u niego wszystkiém, i jeżeli Bóg pozwoli, to dopiero zamierzoną czynność w przyszłości dokona. Wstręt zaś do przysięgi czy nie jest powszechnym między włościanami? Wprawdzie zdarzają się i krzywoprzysięzcy, ale to są wyjątki, a z tych nigdy o danéj rzeczy sądzić nie należy. Nadto, przodkowie nasi przedchrześcijańscy, po nabożeństwie lubili oddawać się wesołości, ucztom i rozrywce, zupełnie jak dzisiaj my i lud, poświęcając święta wzajemnym nawiedzinom i zabawie.

Niejednostajność obrzędów najjaśniéj przedstawia się w pogrzebach, bo gdy Polanie palili ciała zmarłych, to w Pomeranji grzebano je po polach i lasach. Na polu boju wznoszono najczęściéj mogiły, któremi pokrywano albo spalone popioły, albo całe zwłoki, ale zapewne dostatniejszych tylko bywało to udziałem. Jednę z takich mogił, we

wsi Ruszcza płaszczyzna, w Sandomierskiém położonéj, a uważanéj za wzgórze, wiatr rozwiewając piasek w r. 1828, poodkrywał jedynie same ludzkie kości, zupełnie spróchniałe, i za dotknięciem w proch się rozsypujące. Przy całkowitych skieletach głowami na wznak położonych, znaleziono mnóstwo skorup glinianych z wielkich i potłuczonych naczyń: różne żelaztwo od rdzy zgryzione, noże, sztychulce, kruki z kołkami do wieszania, blaszki srebrne, pół pieniążka srebrnego i amulecik miedziany z uszkiem do zawieszania, z wyrytém wyobrażeniem jakiegoś zwierzęcia czy potworu. Z tych różnych drobiazgów, a szczególniéj z owego amulecika, mogile téj naznaczono bardzo głęboką starożytność, a Lelewel odnosi ją do X, XI, a najpóźniéj do XII wieku.

Co do pojęcia o duszy, opowiadacze chrześcijaństwa nic o tém nie mówią. Wspominają tylko o kapłanach na Pomorzu, widujących dusze, z czego sądząc jak i ze zwyczaju palenia się żon przy pogrzebach mężów, których dusze szły do nieba przyjmowane przez Nija, strażnika i przewodnika lepszego przyszłego życia, można na pewno wnosić, że pojęcia te o duszy były zgodne z naszemi chrześcijańskiemi pojęciami, a przynajmniéj przewodniczyła im myśl nieśmiertelności. Wprawdzie palenie żon było prawdziwém pogańskiém barbarzyństwem, ale ono tylko tam zachowywane, gdzie spopielanie ciał zmarłych stanowiło przyjęty zwyczaj.

EPISTOLE.

1.

DO T. M.

Drogi ziomku! twój ołówek,
Niby snów obłoczek—
Tyle pięknych przeniósł główek,
I ustek i oczek...

I niejedne męzkie lica,
Gdzie myśl Boża tchnęła—
Twoja ręka-czarownica,
Na karcie zaklęła.

Drogi ziomku! w każdéj twarzy,
Męzkiéj i niewieściéj—
Znasz ten wyraz, co się żarzy,
Po za mgłą boleści...

W tajemniczym tym wyrazie,
Bije duch plemienny—
Co na każdym twym obrazie,
Świeci tak promienny!

2.

DO M. S.

Grzmij nasz Marku na gitarze,
Dźwięk nie przebrzmi marnie—
Gdy nie dusze, to choć twarze,
Urok twój ogarnie.

Przy nieznośnym miasta gwarze,
Przy ciągłéj rozterce—
Grzmij nasz Marku na gitarze,
Krzep zmęczone serce.

Gdy grom dźwięków wziąłeś w darze,
Gdy pierś nasza wtórzy—
Grzmij nasz Marku na gitarze,
Jak obłok wśród burzy.

3.

DO ARCHEOLOGA.

Gdy ręka twoja skarby gromadzi,
Z święconéj przeszłości trumny—
Archeologu! cóż cię prowadzi,
Na bazar żywota tłumny?

Wszyscy i wszystko—w tym butnym gwarze,
Bez stałéj jeszcze pieczęci—
Zaledwo przyszłość w blasku okaże,
Imiona godne pamięci...

A dziś—gdy kurzem czerni arena,
Gdy pośród godnych, niegodni...
O! nie wznoś ręką katahumena,
Niepoświęconych pochodni!

I klątw nie ciskaj—może nad czołem,
Dzisiaj zelżoném zawiśnie—
Gwiazdy pamięci zaświecą kołem,
Nimbus świętości zabłyśnie....

Jan Prusinowski.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

—Pora tańcujących wieczorów i balów maskowych otworzona została dnia 8 Stycznia świetnym wieczorem w Tuilerjach, na który Cesarstwo przeszło trzy tysiące zaproszeń rozesłali. Tym razem w obszernych komnatach cesarskiego pałacu zebrało się tylko około 2,000 osób. Cesarstwo weszli na bal około godziny jedenastéj i w tryumfalnym pochodzie, otoczeni książętami krwi, rodziną i dworem, jakby na jaką urzędową uroczystość występowali. Od lat kilku uważano, że Cesarstwo

z wiekiem coraz poważnieją i coraz wymagalniejszymi pod względem dworskiéj etykiety się stają. Ludwik Napoleon wraz z Cesarzową Eugenią zajęli miejsce na estradzie czyli wzniesieniu dla nich urządzoném, i po odebraniu ukłonów od całego zgromadzenia, dali znak przez marszałka do rozpoczęcia balu. Natychmiast po tém skinieniu puściło się kilkadziesiąt par w ochocze kadrylowe pląsy. Widok balu w salonach tuileryjskiego pałacu przedstawia najfantastyczniejszy obraz. Pyszne komnaty cesarskie, oblane morzem światła przepysznych żerandoli, zdobne w ogromne zwierciadła lśniące się od płomieni i brylantów, zapełnione hufcami cudownie pięknych kobiet, a przynajmniéj przybranych w gustowne i wytworne szaty rozmaitych form, koloru i rysunków, kilkutysięczny tłum, nieustannie kołyszący się jak rozhukane fale oceanu, przy odgłosie grzmiącéj orkiestry—oto jest słaby i zimny szkic obrazu, jaki uderza oczy i odurza wyobraźnię pierwszy raz zwiedzającego te sardanapalskie wystawy pałacu tuileryjskiego władcy. Powiadam raz pierwszy, przy częstym bowiem widoku najwspanialsze rzeczy powszednieją; i rozkosz przyobiecanego nam nieba, która wieki trwać ma bez znużenia, zasadza się zapewne na nieskończonéj rozmaitości, co jedna ma przywiléj bawić nas zawsze. Ale jakiż dziwny skok z balu do nieba zrobiłem; wracam więc co prędzéj na ziemię. Na zewnątrz pałacu tuileryjskiego każdy przychodzień, nawet Paryżanin zobojętniały i przywykły do olbrzymich rozmiarów stolicy, przystanąć musi na placu Carrousel dla zmierzenia okiem tego obszaru komnat cesarskich, równającego się całéj długości Krasińskich ogrodu w Warszawie, tych kilkuset frontowych okien promieniujących światłem, téj karawany przepysznych karet, fjakrów, ekwipaży, złotolitych liberyj przebiegających w różnych kierunkach dworzec przedpałacowy wszechwładnego pana Francji. Wtenczas dopiero dostateczną moze sobie zdać sprawę, dlaczego Henryk IV powiedział był, że „miasto Paryż warte jest mszy i spowiedzi“ i wytłómaczyć zuchwalstwo, które Ludwika Napoleona na tron wyniosło, a które prawdopodobniéj na zamknięcie w twierdzy Vinceńskiéj i śmierć, jako awanturniczego samozwańca, narazić go mogło. Na tym wieczorze wszyscy uważali, że jeżeli sprawiedliwą jest opinija, że wyraz twarzy Cesarza Napoleona jest obojętny, zimny i nieruchomy, jak tych Kaimanów, co machinalnie oczami w nieruchoméj głowie przewracają, to przeciwnie, na obliczu Cesarzowéj przelatuje błyskawicą życia, uczucia i wyobraźni. Ten kontrast fizjonomji pary cesarskiéj, z wiekiem coraz wydatniejszym się staje.

Francuzi powiadają: „Ocean jest zwierciadłem gwiazd, przyroda jest zwierciadłem Boga samego, policja jest zwierciadłem obyczajów towarzystwa, a twarz jest zwierciadłem duszy.“ Jeżeli to prawda, miałażby dusza Napoleona być taką głębią, która najmniejszą zmarszczką na powierzchni wody się nie zdradzi, albo téż, co gorzéj, otchłanią próżni? To niech badacze bieglejsi ode mnie rozstrzygną. Co do mnie, powiem tylko moje osobiste wrażenie. Nigdy mnie sympatja z ludźmi rozpacznego milczenia nie wiązała.

Na tym balu wszyscy podziwiali bogactwo i gust ubioru Cesarzowéj Eugenji. Miała ona białą atłasową suknię, przesianą ametystami, a na głowie djadem z takichże kamieni. Zabawa trwała do godziny czwartéj po północy. Z naszych rodaków uważałem kilka tylko osób: Panią Marszałkowę Borch z domu Plater z córką, Książąt Sułkowskich i Hrabiego Tarnowskiego; wielu innych nie znam.

Na cesarskich balach i wieczorach powszechne zajęcie obudza Księżna Dadian, Regentka Mingreli, wraz z synem pięknym czerkiesem, w świetnym, bogatym i przepysznym ubiorze.

—Pan Moniuszko, słynny i ulubiony nasz maestro, bawi obecnie w Paryżu. Jak słyszałem, robi on starania, aby niektóre ze swych oper, a mianowicie *Halkę*, na scenie francuzkiéj mógł przedstawić. Wielkie trudności spotka on zapewne w doprowadzeniu do skutku tego zamiaru, z powodu wiernego przekładu tu w Paryżu na język francuzki pięknego baletu *Halki*, jak również niełatwego zastosowania swéj muzyki do francuzkiego tekstu. Rzewna, niesłychanie tkliwa i półtonowa melodja *Halki*, jest czysto-narodowym tworem i tylko o struny polskiego serca uroczo obić się może, Francuzom zaś, wątpię, aby przypadła do gustu. Cokolwiekbądź, panu Moniuszce nie zbraknie na wpływie i protekcji wysokich osób, a bezpośredni zarząd nad teatrem mających, ják pan Walewski Minister Stanu naprzykład albo Książę Poniatowski, kompozytor dzieł muzycznych i zawołany miłośnik muzyki. Zalecenia niektórych Polaków, jak mnie zapewniano, otworzyły już wstęp panu Moniuszce do powyżéj wymienionych dwóch dygnitarzy obecnego rządu.

Jeszcze jedną przyjemną wiadomość jestem w stanie donieść moim Czytelniczkom. Jeden z najlepszych malarzy naszych w rodzaju religijnym, pan Tadeusz Górecki, tu w Paryżu zamieszkały, został w tych dniach ozdobiony honorową oznaką *Lwa i Słońca* przez Szacha Perskiego, za usilne prace podjęte nad nauczaniem sztuki malarskiéj niektórych młodych ludzi, przysłanych przez rząd perski na nauki do Paryża.

— Młody lekarz, Warszawianin, pan Lipkau, uczeń dorpackiego fakultetu medycznego, od kilku lat w Paryżu osiadły, coraz więcéj zaczyna się tu wsławiać. Wyleczył on już z upartych słabości dwóch znakomitych dygnitarzy francuzkich, a mianowicie Hrabiego de Morny, blizkiego krewnego Ludwika Napoleona z pobocznych związków, i Barona Niewerkerke, dyrektora muzeów cesarskich i ścisłego przyjaciela Księżnéj Matyldy. Wkrótce ma on być przez pana de Morny zalecony i przedstawiony Cesarzowi Napoleonowi, który zawsze cierpi na zmiękczenie szpiku kości pacierzowéj.

---

* * *

Kiedy świat pluszcze deszczem, dnie zawieją, albo ziębi mrozem,

A dziewice,
Krasnolice,
Nie dla fraszki
Niby ptaszki—
To świegocą,
To chichocą
Z dumką w duszy,
Co poruszy
Nawet kamień.....

dobra gra towarzyska prawdziwą robić może przyjemność. To też żądań o nią nie brakło, a pragnąc przysłużyć się stosownym wyborem, przejrzałem różne Sibille, Kabały, Chiromancje, odpowiedzi wirujących stołów i t. d., i przekonałem się, że wszystkie stanowić mogą wyborny materjał... do napalenia w piecu.

W jednéj z nich naprzykład autor uwziął się na biedne wdowy: to je posądza o zazdrość, to o intrygi, obmowy, zalotność, plotki, i w każdéj wyroczni z kart wyczerpniętéj, wdowa stanowi główny punkt, około którego różne prognostyki brzęczą, szumią, śmieszą. W innéj, co kartka, to niedorzeczność, a w każdéj wierszowanéj odpowiedzi, ukutéj jak w kuźni, ni sensu, ni smaku, jakby się szło po grudzie: tu połknięta sylaba, tam naciągnięta końcówka, czasami dla rymu nawet przekręcony wyraz, a najczęściéj odpowiedź tak pasuje do pytania, jak kwiatek do kożucha.

Na pytanie naprzykład:—czy się spełni moje życzenie? Kabała odpowiada:

Kto swych życzeń nie przetęża,
Ten czas i szczęście zwycięża.

Co mi radzi rozsądek?

Co zawsze stoi na słońcu,
To musi spłowieć na końcu.

Więc rozsądek radzi, aby nie stać na słońcu; wybornie! przestroga czysto-hygieniczna.

Na pytanie:—jakim sposobem stać się godnym kochania? autor moralizując powiada:

Bądź przyjaznym, salonowym,
Jak papierem welinowym.
Zrób się ważnym i dmij w nos,
Małym kosztem zrobisz los.

Daléj radzi lizać się, schlebiać, zniżać, kurczyć, chwalić, milczéć, kłamać, czyli:

Być kociéj natury
Schowawszy pazury.

Nie zapomina przytém o staniu i siedzeniu, bo powiada:

Gdzie nie możesz prosto stać,
Usiądź grzecznie a daj im znać.

Komu? czy nam w Redakcji, czy Wam, zacne Czytelniczki?

Dla pragnących jak najlepszego pokazania się w świecie eleganckim, autor przypisuje następujący specyfik, wysmażony w swéj mózgownicy:

Udaj katar, i z tabakierki
Bierz bonbonki lub cukierki.

Jako znający świat i ludzi dodaje:

Jak kto żyje tak ty żyj,
Kiedy trąbią w trąbę dmij.

Właściwiéj byłoby *w trąbę rznij*, zwłaszcza kiedy kto plecie szałki opałki.

W jednéj z odpowiedzi, na zapytanie:—do czegom podobny? autor na raz jeden staje się badaczem przyrody i powiada:

Do koguta, który gdy ogon podniesie,
Zawsze pozna, że deszcz na lesie.

O téj własności koguta rzeczywiście dotąd nic nie wiedzieliśmy; pokazuje się, że z każdéj książki można się czegoś nauczyć.

Przytém autor jest pełnym skromności, bo w zapytaniu:—czego się mam wystrzegać? radzi:

Nawet słowa trzymać w pierzu.
Nie kłaść nago na talerzu.

Radę tę pełną rzewności, wieńczą odpowiedzi na zapytanie:—gdzie mi najprzyjemniéj?

Gdzie myszkować Kupid chodzi,
A nikt mu w tém nie przeszkodzi.

Odpowiada szanowny twórca Kabały:

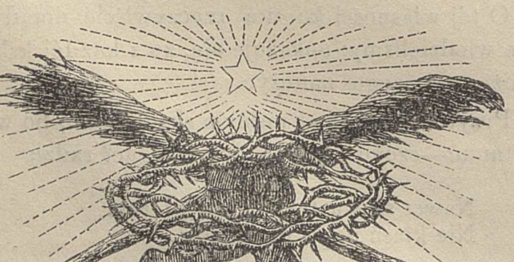
Gdzie wszystko do góry nogami,
A straż trzyma Amor za drzwiami.

Ale dosyć tych niedorzeczności, musiałem jednak choć cząsteczkę z nich przytoczyć, aby pokazać całą nicość wszystkich podobnych książeczek, mających niby posługiwać do zabawy w towarzystwie. Myśląc zaś nad autorami zdatniejszemi do siekiery jak do pióra, i nad sposobem wypędzenia z nich wszelkiéj chętki koncypowania i przepolszczania śmieci zagranicznych, przypadkiem wpadł mi opis własności pewnych pigułek, które nie tylko starych robią młodemi, brzydkich ładnemi, a smutnych wesołemi, ale nawet, jak się wyraża opis, przed niemi *robaki ustąpią i uzdrowią*, a przytém *skutkują po 12 godzinach, jeżeli zadawnionych cierpień nie zaraz powierzchownie, i trwają w mocy przeszło trzy lata.*

Otóż czytając to, mimowoli tacy skrybenci przyszli mi do myśli, bo jeżeli pigułki te uzdrawiają robaki i trzy lata trwają w swéj mocy, dlaczegóżby ich nie miały wyleczyć z literackiéj manji, zwłaszcza gdy skutkują w pół doby, *jeżeli zadawnionych cierpień nie zaraz powierzchownie?*

Różne inne wiadomości zostawiam do przyszłego numeru, a szczególniéj wieści o szkółkach, o których odebrałem kilka miłych i serdecznych doniesień. Nie mogę jednak pominąć małego, dość zabawnego roztargnienia pewnéj damy, która mając zawinięte w chustce w jednym rogu trzy dziesiątki dla sankarza, w drugim trzy pastelki sodowe; wysiadając wcisnęła w rękę sankarzowi pastelki, a z pieniędzmi poszła do domu. Jeżeli tak mimowolnie oszukanego sankarza dojdzie to ogłoszenie, niech się zgłosi do naszéj Redakcji, jesteśmy bowiem upoważnieni do doręczenia przypadającéj mu należytości.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Szmerling**).



Nieraz już wspominaliśmy z prawdziwém zadowoleniem o nowym a stanowczym zwrocie do prostoty, jaki się w ubraniu powszechnie widzieć daje. Tym bardziéj jeszcze utwierdziliśmy się w tém przekonaniu, oglądając w tych dniach ubrania przygotowane w magazynie panien Kuhnke na uroczystość ślubną dla jednéj z zamożniejszych w kraju rodzin. Opiszemy tu szczegółowo te skromne a pełne wdzięku ubiory, stokroć milsze dla oka i serca polskiego, od owych kosztownych koronek i atłasów, któremi dawniéj tak hojnie szafowano.

Suknia ślubna, biała muszlinowa, miała u dołu wolant szeroki na pół łokcia; nad nim szły trzy wązkie, na trzy palce karbowane falbaneczki, odwrócone z obudwóch boków do przodu i dochodzące do paska. Stanik marszczony, zachodził pod szyję, na wyciętéj podszewce, przepasany był wstążką białą. Od góry stanika aż do wolantu szły rzędem kokardy z białéj wstążki, złożone z pukielków i tworzące okrągłe róże. Rękawy długie, składały się z dwunastu małych bufek; co dwie bufki wpięta była kokardka biała. Stanik u szyi ogarnirowany był ruszką muszlinową, również jak i rękawy u ręki. Welon na głowę z gęstéj illuzji, w formie okrągłéj, burnusowéj, miał dopełniać ubrania, wraz z wieńcem róż białych, bez liści, przybranym w środku bukiecikiem z kwiatu pomarańczowego.

Suknia dla druchny także muszlinowa biała, miała u dołu sześć karbowanych falbanek, na półćwierci łokcia szerokich; falbanki te z wypuszczonąłgłówką, przegrodzone były w naszyciu wstążeczką ciemno-lila. Stanik marszczony, krzyżujący się na piersiach, objęty był z boków i u szyi dwoma falbankami, przedzielonemi na szwie wstążeczką. Rękawy otwarte miały odpowiedni garnirunek u brzegu. Pasek lila, z kokardą na boku, dopełniał tego świeżego ubrania; djadem z fijołków bez liści, przygotowany był na głowę.

Suknia dla innéj druchny, także biała muszlinowa, miała u dołu szeroki na trzy ćwierci wolant, z wielkim u brzega obrębem. Wolant ten rozszerzał się po bokach do pięciu ćwierci, przez co tworzył z obu stron dwa zęby podniesione w górę. W miejscu przyszycia dana była trzema rzędami wstążeczka lila, szeroka na cal; z pod najniższego rzędu téj wstążeczki wychodziła na dół falbanka dwucalowa karbowana; z pod najwyższego zaś rzędu taka sama falbanka wychodziła pod górę. Staniczek gładki, wycięty, do paska, pokryty był na wierzch kanzucikiem kwadratowym, sięgającym do połowy stanika. Kanzucik ten brzegiem ogarnirowany był trzy razy wstążeczką i dwoma falbankami, odpowiednio do garnirunku spódnicy. Rękawy składały się z dwóch szerokich buf, przymarszczonych u ręki o tyle, żeby ta swobodnie przejść mogła; w tém miejscu naszyte były trzy wstążecz-

ki z dwoma odwrotnemi falbankami. Szarfa związana była z tyłu, od kokardy spadały długie końce; na głowę miał iść djadem z drobnych lila asterków bez liści.

Muszlin francuzki na te suknie bardzo klarowny, sztywny i cienki, szerokości trzyłokciowéj, zaleca się nader dostępną ceną; łokieć bowiem kosztuje od złp. 5 do 6 gr. 20. W magazynie panien Kuhnke jest znaczny zapas tego muszlinu.

Dla starszéj osoby na tęż uroczystość przygotowana była suknia popielata z irlandzkiéj popeliny. U dołu spódniczki szła falbanka czarna mantynowa podwójna, ułożona w drobne fałdki; powyżéj naszyta była trzy razy aksamitka szeroka na dwa palce; z pod najwyższego rzędu wychodziła znów w górę falbanka mantynowa. Stanik gładki pod szyję, zapięty na aksamitne guziki, przody miał naszyte z każdéj strony trzema aksamitkami, z po za ostatnich rozchodziły się falbanki mantynowe; od strony guzików nie było wcale falbanek. Rękawy otwarte, niezbyt szerokie, wygarnirowane były stosownie do dołu spódnicy.

Dopełniał ubrania kołnierzyk brukselski z aksamitną kokardką u szyi, i rękawy tiulowe z odpowiedniemi mankietkami, również przybranemi aksamitką. Na okrycie służył szal długi czarny kaszmirowy, zwany *plaid Eleonor*, z przepiętym z tyłu kapturkiem, ozdobionym trzema kwastami. Szal ten, z trzech stron, wyjąwszy u szyi, obszyty był czarną koronką, szeroką przeszło na pół łokcia; z przodu spinał się na kokardę.

Czepeczek do tego okrągły, ogarnirowany był wkoło ruszą z białéj illuzji, z czarnym i białym brzeżkiem. Z jednego boku podpięty bukiecikiem z czarnych bratków, z jasno-popielatemi liściami. Wierzch czepeczka pokryty był długą kokardą ze wstążki i barbki koronkowéj, przytwierdzoną bukietem z bratków. Z tyłu spadały długie końce z wstążki czarnéj w drobny biały rzucik.

Oprócz tych sukien było jeszcze parę innych czarnych *poult de soie*, przygotowanych na ten weselny obrzęd, co dowodzi, że panujący niegdyś przesąd znika już pomału, a czarny kolor przestaje być wróżbą nieszczęścia.

Nowości Zagraniczne.

Petit courier des dames.—Do najmodniejszych dziś materyj należy mora czarna, *moire antique sablié*, jakby potrząśnięta piaskiem; i materje czarne w biały deseń.

Pończochy kolorowe, popielate lub białe w czarne paski, noszone są powszechnie na ulicę; do nich używają zwykle odpowiednich spódniczek, zwanych mleczarskiemi (jupes laitières). Spódniczki te wyglądają z pod sukni podpiętéj w górę paskiem.

Do większego ubrania noszą pod suknie spódniczki białe perkalowe, wyszywane czarnym sutaszem.

Kołnierzyki na rano powszechnie dziś przyjęte, są małe, z perkalu albo płótna, z tyłu podniesione w górę nakształt męzkich, z przodu wyłożone i zakończone śpiczasto. Formę takich kołnierzyków pod nazwiskiem *Col-Collin*, daliśmy w nrze 28 i 46 naszego pisma. Podwiązują je pod szyją wąziuchnym krawacikiem, związanym na kokardkę. Rękawki na rano mają szeroki mankiet, odwinięty na wierzch jak u koszul męzkich, i spięty na wielki guzik.

Do ubrania noszą kołnierzyki z koronki weneckiéj lub irlandzkiéj, z zębami przedłużonemi z przodu, które spadają dosyć długo na stanik, jak to widziemy na dawnych portretach szkoły włoskiéj.

Rękawki pod spód do ubrania składają się z bufy tiulowéj, przymarszczonéj do paska haftowanego lub do walansienki, tak szeroko, żeby ręka swobodnie przejść mogła.

Zalecamy pod kaftaniki zuawskie szmizetki perkalowe białe, wyszywane czarnym sutaszem; strojniejsze od nich są kaszmirowe białe, wyszywane téż czarno.

Dla młodych panienek bardzo właściwe są kaftaniczki greckie, sięgające ledwie do pasa, otwarte z przodu i zaokrąglone po rogach, obszyte wkoło astrachanją lub futerkiem. Rękawy do nich niezbyt szerokie, otwarte.

Ozdoby szmuklerskie do sukien zawsze bardzo noszone, ale trzeba koniecznie zrobić właściwy pomiędzy niemi wybór, gdyż pasmanterje ordynaryjne szpecą suknię, zamiast coby ją miały zdobić. Do jedwabnych sukien najwięcéj używają w téj porze torsad i frendzli sznelowych, które bardzo ładnie wyglądają.

Kapelusze noszą ciągle podniesione nad czołem, ale najmniejsza przesada w tym względzie sprzeczna jest z dobrym gustem i prawdziwie śmieszną się staje.

AKROSTYCH.

Jest to gra nader przydatna w nieliczném towarzystwie. Każda osoba wybiera sobie wyraz składający się z tylu liter, ile jest grających, opuszczając jednę, która ma całą grę prowadzić. Naprzykład: jest wszystkich osób siedm; pierwsza z nich podaje wyraz, dajmy na to, *wioska*, składający się z sześciu liter, i pyta się z kolei swych sąsiadów:

czego kto życzy dla litery *w, i, o, s, k, a.* Wtedy naprzykład jeden odpowie:

*w*ina,
drugi, *i*ndyka,
trzeci, *o*brazów,
czwarty, *s*zkatuły,
piąty, *k*arabeli,
szósty, *a*tramentu.

Z zebranych wyrazów powinna osoba pytająca się utworzyć na prędce jakie opowiadanie, w którémby każdy z nich właściwe i naturalne znalazł pomieszczenie. Jeśli się jéj to nie uda, lub zadługo się namyśla, daje fant.

Z powyżéj, na chybi trafi podanych wyrazów, możnaby złożyć taką historyjkę. Kraje gorące wydają poddostatkiem *wina*, a przytém są ojczyzną tak upowszechnionego u nas *indyka*. Prześliczne to kraje, pełne uroczych *obrazów* bujnéj przyrody, która bez żadnych mozołów szczęśliwemu posiadaczowi tysiącznych dostarcza owoców, napełniając mu po ich sprzedaniu *szkatułę*. Tylko musi jéj dobrze pilnować, bo o rabusiów dzikich nietrudno, musi dobrze się uzbroić, i jak dawni Polacy chodzić przy *karabeli*, bo tam na pisanie praw nie psują *atramentu*, którego nawet podobno nie znają.

Jeśli kto dowcipny i umié układać małe historyjki, w któreby wplotły się zebrane wyrazy, tém lepiéj wszystkich zainteresuje. Bez zabawy i śmiechu nigdy się tu nie obejdzie, bo podawane wyrazy tak są najczęściéj dziwaczne i z sobą niezostające w związku, iż bardzo pocieszne powstają opowiadania, gdzie dowcip i bujna imaginacja obszerne znajdują pole do popisu. Biedaki, którym na tém zbywa, dawać muszą fanty.

Osoba zbierająca wyrazy, powinna je sobie na papierku notować, aby o którym w opowiadaniu nie zapomniała, coby ją naraziło na złożenie fantu.

Również podlega karze podobnéj osoba, która zapytana, odpowiada wyrazem już powiedzianym.

GRA W PRZYSŁOWIA.

Gdy osoba mająca zadawać pytania oddali się do drugiego pokoju, wtedy osoby grające, jedna drugiéj, powiada do ucha jakie powszechnie znane przysłowie. Przywołana z drugiego pokoju osoba staje w pośrodku towarzystwa i zadaje dowolne pytania każdemu z grających; mówić wszakże powinna z wolna i nie powtarzać się. Zapytana osoba dać winna odpowiedź, w któréjby stosownie użyte było otrzymane w sekrecie przysłowie. Rzadko się zdarza, aby zapytany lub zapytana odrazu stosowną ze swojém przysłowiem dała odpowiedź. Wtedy fanty się mnożą.

W opowiedzeniu historyjki jakiéj na temat przysłowia otrzymanego, postępujemy sobie tak samo, jak w akrostychu. Nic podajemy więc żadnego wzoru, poprzestając na wyliczeniu kilku przysłowiów, któreby grę ułatwiły:

Szewc najczęściéj bez butów chodzi.
Każda liszka swój ogon chwali.
Z jakim kto przestaje, takim się staje.
Jaki pan, taki kram.
Nie wszystko złoto, co się z wierzchu świeci.
Z wielkiéj chmury mały deszcz.
Która krowa dużo ryczy, mało mleka daje.
I kamień na miejscu obrasta.
Kto przepłynął morze, na brzegu utonąć może.
Poznać pana po cholewach.
Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
Ciekawość jest pierwszym gradusem do piekła.
Nic nie ma pod słońcem nowego.

Zbiory podobnych zdań i przysłów znajdują się w osobnych wydaniach do nabycia w każdéj księgarni.

Opis deseni do haftu.

Nr. 1. Deseń na chustkę do nosa. Między jednym a drugim szlaczkiem dodać można drobne punkciki.—Nr. 2. Kołnierzyk do haftu czarną lub białą bawełną. Haftuje się na pojedynczym batyście, lecz podszyć trzeba dla większéj mocy półbatystem.—Nr. 3. Mankiet.—Nr. 4. Kołnierzyk. W tém miejscu gdzie cztery i trzy linijki, przystębnowywa się lub sznurki wszywa.—Nr. 5. Mankiet.—Nr. 6. Kołnierzyk.—Nr. 7. Mankiet.—Nr. 8. Kołnierzyk.—Nr. 9. Deseń na chustkę do nosa.—Nr. 10, Kołnierzyk.—Nr. 11. Mankiet.—Nr. 12. Kołnierzyk mały pikowy, z brzegiem batystowym haftowanym.—Nr. 13. Mankiet.—Nr. 14. Dessń na kapę batystową do przykrycia poduszek. Kapa naokoło obszywa się falbanką ćwierćłokciową, dzierganą w ząbki, z batystu albo muszlinu. Kontur liści robi się gęstym stębenkiem, przeciągając nitki pod spodem do przeciwległéj strony. Żyłki w listkach haftują się z wierzchu. Efekt takich liści bardzo jest ładny, bo nadzwyczajnie wydatny i naśladujący aplikację. Niektóre jeszcze zasiewają drobniutkim stębenkiem lub tiul koronkowy przyhaftowywują, nie wycinając batystu.—Nr. 15. Deseń do wyszycia zuawki sutaszem i perełkami czarnemi lub stalowemi,—Nr. 16. Kołnierzyk.—Nr. 17. Mankiet.—Litery *A. K.*

Opis drugiéj strony tablicy.

Umbraculum do haftowania srebrem luh złotem na białéj materji. Do kwiatów użyć można drobnych kamieni i muszelków kupujących się na tuziny. Włosy haftują się pelami, dodając do każdéj twarzy oczy szklane.

DONIESIENIA.

Wyszedł Numer 8 *Przyjaciela Zdrowia*, i ten sawiera: Uwagi hygieniczne dia stanu duchownego; O przyczynach niezdrowego powietrza w porze zimowéj i początku wiosny w Warszawie; Apteczka domowa:—moczenie nóg, o odmrożeniach i środkach zaradczych; Zdania i myśli i t. d.

Wyszedł Zeszyt II dzieła pod tytułem: *Węgry*. Przedpłata wynosi złp. 40. Można prenumerować na wszystkich Stacjach pocztowych.

KORRESPONDENCJA.

Pani Ka. Dyz...—Bielizna na wyprawę nie mogłaby być wcześniéj uszyta, jak w sześć tygodni. Kołdry tybetowe grubo watowane i pikowane kosztują złp. 73 gr. 10; półtybetowc złp. 60; z bawełnianego wyrobu złp. 46 gr. 20, atłasowe 134 złp.— —Panu Ka. Ka. Lu...—Koszule męzkie szyte w maszynie, mogą być w cztery dni gotowe, ręcznie zaś szyte zaledwie w sześć tygodni. Krawaty męzkie tylko z rypsu używane są tak do wiązania, jak do zapinania, ze spuszczonemi na piersiach końcami. Krawaty pod nazwiskiem *Figaro*, właściwe są tylko dla młodych.— —Pani Ju. Jabłkow...—Od roboty kaptura watowego płaci się złp. 8, za inne dodatki osobno.— —Pani Hen. Praż... Do pokrycia salopy futrzanéj radzilibyśmy, zamiast atłasu, materji matowéj bez połysku.— —Panu Włady. Jabłonow...— Listu wyprawionego ze stu rublami nie odebraliśmy. Sprawunki odeszły na początku Grudnia; czekamy odpowiedzi.

Do dzisiejszego numeru dołączają się wzory deseni do haftu.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Warszawa dnia 1 Lutego 1862 roku. *20 Stycznia.*

PODMOWY TOWARZYSZA KOSTKI

OBRAZEK HISTORYCZNY

Z CZASÓW JANA KAZIMIERZA Z ROKU 1651.

SKREŚLONY PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Kiedy rozprawy włościan zaczęły się cokolwiek uspakajać, wówczas niby konkludując rzecz całą, wyciągnął rękę jeden z włościan, brudny, rozmamany, z niezmiernie ponurém i odrażającém wejrzeniem, i wytrząsając pięścią i szołdrami wiszących na sobie łachmanów, rzekł ochrzypniętym głosem:

— Wy gadajta swoje, a szlachcic choć szlachcic, a poczciwie mówił.

Stronnicy tego zdania głośno potwierdzili wymówione słowa, a Wasiak poruszył się, trząsnął ręką i wymówiwszy zwykłe: *ale, ale!* cmoknął ustami z wielkiém wykrzywieniem twarzy.

— My znowu inaczéj tę rzecz miarkujemy, — zabrał głos Wojciech Kolasa, sołtys z Woli Stawowéj, człowiek bardzo miłéj i pociągającéj powierzchowności, z owym rozumnym wyrazem twarzy, mimowolnie obudzającym poszanowanie; — jak tam u was jest, to nam w to nie wchodzić, ale w naszéj Wólce krzywdy nie znawa nijakiéj, więc nie będziewa słuchać namowy na żadne bestjalstwa, i do żadnego poruchu mieszać się nie będziewa.

Słowa sołtysa wywołały znowu nowy gwar rozmowy, która ciągle kręcąc się w jedném pojęciu kwestji, nie sprowadziła do zgody i pewnego jasnego wniosku. Kiedy wyczerpano wzajemne argumenty i przekonano się, że porozumienie niepodobne, bo jeden chce iść w prawo, drugi na lewo, ten do lasa, a ten do Sasa; wtenczas i oczy i usta zaczęły się zwracać ku Tomaszowi i Wasiakowi, jakby do ostatniéj instancji, co ma waśniących pogodzić i wskazać drogę, jakiéj należy im trzymać się, żeby nie zbłądzili.

— Mój Marcinie, mój Tomaszu, sami powiedzcie, — mówili jedni, — sami powiedzcie, nie mam prawdy za sobą?

— Albo to prawda, żeby prawda była przy was? —mówili drudzy. — I nuż ciąć się słowami, nuż robić do siebie różne przykładki, więc Tomasz przekonawszy się, że już dosyć o jedném nagadano się, że w braku treści zaczynają się czepiać siebie, że zatém już czas zakończyć rozprawy, dał znak i gdy się uciszono rzekł:

— Moi sąsiedzi, i młyn żaden tyla się przez tydzień nie wypytluje, co wy bez tę godzinę czasu. Gadaliśta a myśmy słuchali, więc wy teraz posłuchajcie, a my będziemy gadali.

— Oj! to, to, — mruknął Wasiak pochwalając wniosek; ale gdy Tomasz kazał mu być pierwszym, natychmiast wykrzywił się, trząsnął ręką i rzekł z niechęcią:

— Ale, ale; dajta mi pokój!

— Mój Marcinie, dla gromady z przysługą nie należy się wymawiać, — odezwał się znowu Tomasz; — rzeknijcie jak miarkujecie, a co wy opuścicie, to ja późniéj dodam, bo wy skąpi w słowie, a ja znowu rozrzutnik. Więc powiedzcie, jak swoim rozumem w téj sprawie trzymacie.

— Tak, tak, — powiedzcie! — zawołano gwarnie i otoczono Wasiaka zapraszając ciągle do mówienia. Wasiak z początku wymawiał się to trzęsieniem ręki, to krzywieniem twarzy, ale coraz bardziéj naciskany, uspokoił się, a wtenczas uciszyła się gromada, znająca narowy szanowanego przez siebie dziwaka. Po chwilce Wasiak sięgnął do worka, co stał przy nim oparty o ścianę, i wyjąwszy z niego garstkę mąki razowéj, zapytał:

— Co to?

— Jużcić mąka, — odpowiedziano.

— A to co?—powtórzył pytanie, wyjmując garść z drugiego worka.

— To otręby.

— Z mąki bywa chléb albo kluski, — odezwał się Wasiak, — a z otrąb pożywioł dla dobytku.

Potém poszedł pod komin, z ziemi wziął piasku, z komina popiołu i wyciągając koleją ręce, zapytał:

— A to co?

— Piasek, mój Wasiaku.

— A to?

— Popiół.

— Dobrze, — odpowiedział Wasiak, potrząsł głową z zadowoleniem, i wszystko to pomieszawszy na stole, zapytał znowu wskazując na kupę mieszaniny: — A to co? — Jaki taki skrobnął się w głowę, mruknął albo też rzekł ni to, ni owo. Wtedy Wasiak pokiwał głową i w prawo i w lewo i odezwał się: — Nie wiécie co to jest? to ja przełożę. To jest nic, to jest paskuctwo, ni z tego chleba, ni pożywiołu, ino zamieszanie dobrego i złego, a takie zamieszanie ni nakarmi, ni napoi.

Wyrzekłszy to Wasiak zamilkł i włożył ręce w kieszenie. Gromada podumała, a Wroniak, ów najpierwszy odrażającéj postaci mówca, rzekł:

— Tak, to prawda; ale równie z nas idzie chléb na świat, a nie piasek i popiół; my zawdy na chléb zapracujemy, a oni zakuczniki i jużcić, haruj-ta na nich i haruj.

Wasiak syknął na ten zarzut, i wyjmując ręce z kieszeni, odrzekł z pewną niecierpliwością:

— Na polu rósł dąb i powadził się z korą, że go przyciska, gniecie, zasłania przed słonkiem, że musi na nią korzeniami pracować, a żadnego nie daje mu pożytku. Przyszedł chłop i zaczął drzéć korę z dęba, a dąb się cieszył, co mu teraz będzie lżéj i ochotniéj na świecie. Jak chłop ze szczętem zdarł korę, dąb usechł, zmarniał i robactwo go zjadło.

Wasiak powiedziawszy to, znowu włożył ręce w kieszenie, a gromada w cichości zaczęła rozważać znaczenie przenośni, powtarzając słyszane wyrażenia. Wasiak zaś milczał, siedział przygarbiony i prawie nieruchomy spoglądał w ziemię. Po chwili odezwał się Wroniak.

— Przy was może i racyja, mój Wasiaku, ale równie jak się w świecie zakotłuje, to zawdy my z tego cosić spożytkujemy.

Wasiak spojrzał na Wroniaka, popatrzył chwilkę i odrzekł:

— Chłop w garnczek nasypał kaszy, nalał wody zimnéj i przystawił do ognia. Kasza poszła na spód, a woda nad nią stanęła. Kaszy się z tém markociło, a woda się pyszniła. Jak ogień przygrzał, woda poczęła latać dokolusieńka, kasza w śmiech i w radość, że jak zakotłuje się w garnku, to kasza będzie porówności z wodą. Potém szalała woda, szalała i kasza; wykipiała woda, a z wodą i kasza, i z molestowaniem poszła na śmiecie, a woda parą wyszła na świat i osiadła se na liściach, na trawie, tak jakby jakie najdroższe rzeczy. Kasza to my, a woda to szlachta.

Ręce Wasiaka znowu poszły w kieszenie, a chłopi zaczęli pokręcać głowami, dziwiąc się rozumnym przypowieściom swego sąsiada, i rozważając ich znaczenie szeptali:

— Jużcić, co prawda to prawda, źle na świecie, ale w zamieszaniu może wypaść gorzéj. Więc czekajwa, może w złości przyjdzie upamiętanie, a może Najjaśniejszy Król Kazimierz wejdzie we wszystko i zaradzi. Trzy lata dopiero króluje, a turbacyi już miał za sto lat, a może i więcéj, więc trzeba miéć wyperswadowanie. Na polu choć znajdzie się chwast i kąkol, to równie i kłosków z ziarnem nie brakuje; więc i na świecie są źli i dobrzy, a jakby kto chciał przede żniwy wybrać z pola kąkol, to i zbożeby popsował i kąkolowiby rady nie dał.

— To, to, to! — odezwał się Wasiak, widocznie ucieszony ostatniém porównaniem, tak zgodném z jego sposobem wyrażania się. — W polu przepióreczka woła: *pójdźcie żąć!* — mówił daléj już z więcéj rozjaśnioném obliczem, — mądry więc szykuje się na żniwo, a głupi powiada: pójdę złapię przepiórkę. I mądry pożął i miał chléb, a głupi latał za przepiórką aż do zmęczenia. Gdy się opatrzył, zboże wyleciało, i głupi chuchał w garść a mądry się cieszył.

Ostatnie to porównanie spodobało się ogólnie, uniwersał bowiem Kostki, wydany przed samym Świętym Janem, do Woli Stawowéj doszedł w początku Lipca, żniwa więc były za pasem. Ogólnie zatém postanowiono nie słuchać namowy i siedzieć cicho w domu czekając zmiany, jak to radził Wasiak. Jeden tylko Wroniak okazał się temu widocznie niechętny, a pojmując że gromady nie przeprze, stuknął pięścią w stół i rzekł:

— Róbta jak chceta, a ja swoje zrobię i jużcić. Szlachcic wartogłów, ale mądrze mówił, że i wam Wasiaku nie ustępuje.

A wtedy Wasiak zerwał się z ławy, i przytrzymując chcącego się oddalić Wroniaka, rzekł:

— Słuchaj Florku! głowa mówiła ręce: nie leź do ognia, a ręka buch w płomienie, i upaliła się i teraz płacze. Florku, bacz co mówię, i nie bądź głupią ręką, a głowy słuchaj.

— No jużcić ja baczę, — odrzekł Florek obejmując Wasiaka za nogi, — i przecie zawdy mam dla was poszanowanie; ale widzicie, u nas we wsi dokuczania co już nadto.

— Znam to Florku, znam, — odrzekł Wasiak rzewnie i litościwie; — turbacyje nasze nie za nas powstały, ale może za nas zginą, bo oto kręci się Szwed i Niemiec i Kozaki się ruszają; to jak się nasi nie upamiętają, to może z obcych potencyi porządek inny zaprowadzą. Więc siedzieć i patrzeć, a jak się złapią za łby, to czepiemy się tego co będzie dla nas przychylniejszy.

— Sprawiedliwie Wasiak mówią, — odezwano się dokoła a nawet i Florek dodał:

— Niechże-ta już tak będzie, jak powiadacie.

I wdzięczna gromada za mądrą radę podsunęła się ku Wasiakowi, dziękując mu to poczciwém słowem, to uściskiem ręki, a nawet kolan jak przez młodszych; Wasiak zaś potrząsał ręką, głową, wymawiając ciągle swoje: „ale, ale“, widocznie niechętny tym oznakom tak serdecznego szacunku. Gdy się gromada uciszyła, Wasiak zgarbiony, z włożonemi rękoma w kieszenie, pozostał wtém samém miejscu na ławie gdzie siedział, i cicho, spokojnie patrzył w ziemię, jakby do niczego się nie mieszał a nawet i do rozmowy nie należał.

Po chwili odezwał się Tomasz:

— Myślałem i myślałem kaj ja znam tego szlachcica, aż se teraz przypomniałem. A to on miał folwark pod naszém miastem, a jak go zmarnotrawił, to potém był podstarostą w Olszance i znowu miał dzierżawę, aż go z niéj wygonili. Oj! ziółko to, ziółko!...

— Baczę 'go i ja, baczę, — odezwało się kilka głosów, a Wroniak dodał z zadziwieniem:

— To ten sam? moi ludzie, a ja jemu wierzył jak co dobremu?

— To téż cała ta sprawa, — odezwał się Tomasz, — jakoś mi się nie zdaje: ze złego ino złe na świat wyjść może.

— To, to, to, — odezwał się Wasiak, — jaki pień, taki cień; z dzikiéj płonki cierpkie jabłko.

— Więc moi kochani, — znowu mówił Tomasz, —ja strasznie boję się, aby nas ten obieżyświat nie wprowadził w jakie zmartwienie. Powiada, co Król Kazimierz nakazuje poruch między ludźmi, to i po cóż w takiéj skrytości? czy to Król nie ma wojska, czy co? Jakeśwa wychodzili na Szweda albo Turka, to wszystko działo się jawnie: rozkazy królewskie wszędy ogłaszano; to i teraz Król mógł ze śmiałością i bez krycia się to samo zrobić. Czy to Król nie ma przy sobie i kasztelanów i wojewodów, coby roznosili między ludźmi rozkazywania, a nie jakiegoś ta wycirusa, obieżyświata, co pewnikiem duszę ma taką czarną jak swój przyodziewek, a hardą jak cała jego gadka?

— To, to, to, — mruknął Wasiak, — na stawisku naszém jest studnia, a w studni plugastwa równo z cembrzyną, choć ta skryte dla oka; to téż woda co z niéj wypływa i plugawa, i tak ludzi jak dobytek w pragnieniu nie chłodzi, ino truje.

— Mądrzeście powiedzieli mój Wasiaku, — odrzekł Tomasz, — słowa takiego człowieka to trucizna, i o mało wiela co nas nie zatruła. A jak truciznę niszczy się do zdry, żeby nieświadomych nie raziła, tak samo należy zrobić z człowiekiem.

— No, ani gadania, — odezwał się Wroniak, — ale żeby na świecie wszystko było po równości, toby nie wadziło.

— Ale, ale, — z niecierpliwością mruknął Wasiak, — wadziłoby, wadziło. Między nierogacizną nie przymierzając, wszystko jest w równości, to téż jedno idzie k'sobie, drugie od siebie, a człek patrzy i klnie aż strach. Na świecie jest drzewo, jest zwierz, jest i człowiek; żeby były po równości same ptaki albo sami ludzie, toby ptak zdechł, a człek uświrkł.

— Jużcić prawda, ale między ludźmi....

— Słuchaj Florku, — przerwał Wasiak, — na niebie jest jeden Bóg, i przy nim Anieli, Święci, i Błogosławieni; na ziemi jest Król, a przy nim przeróżna starszyzna, ojcowie duchowni i szlachta. U nas we wsi jest gromada i żyjewa w równości, a równie górą nad wami jest Tomasz, jest Wasiak i inni gospodarze. Tak było z dawności, i tak zostanie.

— Z wami mój Wasiaku trudna rozgadka, ale zawdy źle jest i jużci.

— Bo nie ma kochania, nie ma jedności, — odrzekł Wasiak; — w człowieku nogi i ręce rzekły: nie słuchajwa głowy; i jedna ręka chyciła się sierpa, druga cepów, jedna noga chciała iść od siebie, druga k'sobie. Cepy uderzyły bijakiem głowę, sierp skaleczył nogę, a nogi się rozkraczyły i ani weź ani w tę, ani w tę stronę. Człowiek w płacz, głowa boli, noga szwankuje, a naprzód ani kroku. Więc pomiarkowały się i rzekły: żyjmy z głową w jedności i kochaniu, i znowu wszystko było dobrze.

— Święte wasze słowa, —odezwał się Tomasz,— ja dawniéj różnie sobie miarkowałem i różności przychodziły mi do głowy, a wszystko z przekleństwem i ze złością; i jakem się dowiedział o tym obieżyświecie, że od Króla ma jakieś rozkazanie, takem ożył i rzekę: chwycę się go choć pazurami. Ale moi ludzie, razem z Wasiakiem poszedłem na pogrzeb, świeć Panie nad jego duszą, nieboszczyka Walentego, to co ta się działo, to mało co się w płacz nie rozpłynąłem. Panowie, choć to szlachta, z potulnością wysłuchali moich ostrych słów, a jakem wygadał wszystkie nasze biedy z Walentym, to zamiast ofuknąć się na mnie, przytulili mnie do siebie, ręce het! dawali do ściskania, ucałowali jak w równości, obiecali i gruntu i dobytku i opiekę nad sierotą, i potém wzięli trumnę z wozu i na własnych ramionach ponieśli aż na smętarz. Dobrodziéj nasz powiedział, że to cud Boży, ale zawdy padł na panów, więc warta obserwacji.

— Moi kochani! i to naprawdę mówicie? — z największém zadziwieniem odezwano się z różnych stron, przysuwając bliżéj Tomasza, — i szlachta was ucałowała i potém trumnę z Walentym zaniosła do grobu?

— Tak, tak, jak mnie żywym widzicie, — odrzekł Tomasz z pewną dumą, — uszanowali w nas prostakach naszą wojskową potyrkę. A był ci tam i Wasiak, to niech powiedzą.

Wszystkie oczy natychmiast obróciły się ku Wasiakowi, który widząc to, podniósł głowy i potrząsając nią z potakiwaniem rzekł:

— Oko patrzało, ucho słyszało, a równie zdało mi się że to nie prawda. W słowach Tomasza nie ma przykładki ani zmyślenia.

— A to poczciwie zrobili, a to poczciwie; no, no, żeby tak we wszystkiém chcieli się obrządzać, to jakoś byłoby raźniéj na świecie. Ale co ta oni w tém mieli?

Wasiak tylko mruknął na to, a gromada jeszcze lepiéj się ku niemu przysunęła, robiąc różne uwagi i powtarzając zrobione pytanie. Widząc więc że się nie ogoni natarczywości sąsiadów, Wasiak cmoknął kilka razy niecierpliwie i rzekł:

— Człek spał, a muchy go obsiadły i gryzły bez upamiętania. Machnął ręką, a ręka poszła na ścianę; kopnął nogą, a noga buchła w ścianę. Jak się przebudził i z rozumem se począł, tak i muchy obegnał i dokuczliwości się z nich pozbył, i rąk i nóg po próżnicy nie zbijał. Panowie śpią, i teraz zaczynają się budzić, więc czekajwa aż otrzeźwieją.

— To i czekajwa; dobrze radzicie mój Wasiaku, dobrze,—odezwano się gwarnie, a Wroniak dodał:

— To i ja staję po waszéj stronie, może ta co i wyczekawa.

A wtenczas Tomasz powstając rzekł:

— Moi sąsiedzi, zgodą i jednością wszędzie dojdziemy, więc się raduję w duszy, że jest jedność między nami. Ale obieżyświata należy rozumu nauczyć, żeby ludzi nie burzył i nie pchał w niepotrzebne termedyje. Co zrobić, naradziewa się z Wasiakiem, ale bez te trzy dni sza! ani słowa. A jak hultajosko znowu przyleci, to świadomość wam damy jak z nim począć. A teraz rozejdźwa się w spokojności, jakby ta między nami nie było żadnéj zmowy.

W pięć minut potém w chałupie zostały pustki, tylko gospodarstwo zabierając się ku spaniu, szeptali pacierze, a po wsi i w polu rozlegało się stąpanie wracających z narady włościan.

(d. c. n.)

DONIESIENIA.